Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 19 (422). WARSZAWA, 12 maja 1928 r. ROK XXI



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O.: „Centralny Związek Polskich Stow. Łowiec." 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł.
Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
CENA OGŁOSZEŃ: Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 35 groszy, 2-szpaltowy 75 groszy; przed tekstem: 1-szpaltowy 50 groszy, 2-szpaltowy 1.10 zł.; na karcie tytułowej 1-szpaltowy 70 groszy, 2 szpaltowy—1.50 zł.

PROŚBA DO PP. PRENUMERATORÓW.

O BRAKUJĄCE NUMERY.

Pomimo znacznego powiększenia nakładu z chwilą przekształcenia „Łowca Polskiego“ na tygodnik, — nakład wielu numerów został wyczerpany. Ponieważ jednak są Prenumeratorzy, którzy nie kompletują numerów i nie oprawiają roczników, gdy inni czynią to z całą skwapliwością, — przeto prosimy uprzejmie w ich i naszem imieniu o łaskawe przysłanie do redakcji na koszt „Łowca Polskiego“ (zwrot będzie uwzględniony w przyszłej prenumeracie) numerów tegorocznych: Nr. 2 i 7.

JAN SZTOLCMAN JAKO PISARZ.

Któż lepiej od Czytelników „Łowca Polskiego" znał i któż goręcej miłował piękne opowieści z dalekich podróży Tego, który wszystkich dziś pozostawiając w żalu, w ostatnią swą podróż wyruszył, z której już niema powrotu.

Niedawno pisząc o drugiem wydaniu dzieła: „Nad Nilem Błękitnym", mówiłem o wrażeniu, jakie to piękne dzieło wywarło swego czasu na Henryka Sienkiewicza, który Zmarłemu Autorowi ofiarował swoje genjalne „W pustyni i w puszczy" z dedykacja: „Panu Janowi Sztolcmanowi — gorliwy czytelnik jego znakomitych książek podróżniczych". Rzuciłem wówczas myśl, iż prace Sztolcmana skierowały uwagę Sienkiewicza na Czarny ląd, ku tajemnicom afrykańskiego kontynentu. A prace te cechował wysoki poziom artystyczny, umiar niezwykły w kreśleniu przygód, skromność w opowiadaniu o myśliwskich powodzeniach, piękno języka i stylu.



Ś. P. JAN SZTOLCMAN.

Czy to błądzimy ze śmiałym wędrowcem-myśliwym nad wielkiemi wodami modrej rzeki, rozbrzmiewającemi zgiełkiem dzikiego ptactwa, czy zapuszczamy się w dziewiczą dżunglę pełną grubego zwierza, czy wędrujemy spaloną w płomiennym słońcu pustynią nubijską, czy w peruwiańskich polujemy puszczach — zawsze przeżycia Autora opowiedziane są ciekawie i porywająco, zawsze z radością obcujemy z jego wspomnieniami, które przecież jak każde wspomnienia, przypominają perły, mając w sobie coś z klejnotów i coś z łez.

W rozwijającej się bujnie naszej literaturze podróżniczej dzieła Sztolcmana mają zapewnione trwałe miejsce. Nie cechuje ich tania błyskotliwość, ani usiłowanie ogłuszenia, przytłoczenia czytelnika nadmiarem arabskich awantur. Nie cechuje ich również tak często spotykana w opisach podróżniczych, niesmaczna chełpliwość, ani przesada nieobca wielu opowiadaniom „myśliwskim". Niema tam zabijania masowego grubego zwierza, niema hekatomb trofeów, niema rzezi ani uboju mięsa. Autor nie przestaje być myśliwym w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa i to jest wielką Jego zasługą artystyczną. Nie przestaje być myśliwym-przyrodnikiem czułym na żywe piękno przyrody, miłującym całe otoczenie leśne, rozkoszującym się każdym uśmiechem słońca, każdą barwą kwiatu, kolibra i motyla...

I tu należy podkreślić jeszcze jedną niepospolitą cechę Sztolcmana, jako pisarza-uczonego: brak oschłości. Naukowe dysertacje zazwyczaj przeładowane są tak suchymi wywodami, iż normalny czytelnik nie może ich czytać bez znużenia. Sztolcman pisze zawsze interesująco. A podczas gdy dzieła wybitnych specjalistów pachną zazwyczaj gabinetem zoologicznym — Jego prace pełne są za-

pachu lasów i pól, rozlewów wód i dżungli, które tak ukochał, które tak odczuwał głęboko i pięknie opisywał.

Obok Grąbczewskiego, obok Ossendowskiego i Goetla, a z pośród najmłodszych Lepeckiego, nazwisko Sztolcmana daje ogółowi czytelniczemu w Polsce dobrą lekturę dalekich podróży. Daje możność oderwania się od szarej i smutnej nieraz rzeczywistości i ulecenia myślą stroskaną w szczęśliwy kraj, w łowiecki raj pełen przygód i niezwykłych wzruszeń. Odkładając takie dzieło, które nam dało możność zwiedzenia oddalonych zakątków ziemi, gdzie może nigdy nasza stopa nie postanie, wdzięczni jesteśmy szczerze Autorowi za chwile spędzone w Jego towarzystwie, jakgdyby istotnie dał nam możność odbycia dalekiej podróży.

Podobno istnieje projekt wydania wszystkich dzieł Sztolcmana, by je uprzystępnić ogółowi. Projekt taki należałoby wcielić jaknajszybciej w czyn. Książki Autora „Peru" i „Nad Nilem Niebieskim" muszą się znaleść w każdej bibljotece myśliwskiej.

Jedną z największych zalet podróżniczych książek Jana Sztolcmana jest ich niezwykła prostota. Opowiadać tak prosto o tak wstrząsających nieraz przeżyciach, umiał u nas tylko Grąbczewski. Każde zdanie, każde słowo układa się na swojem miejscu z dostojną godnością, właśnie dzięki tej wzruszającej prostocie, pozbawionej wszelkiego patosu.

I jeszcze jedną cechę Sztolcmana, jako pisarza, podkreślić należy: Jego głęboką religijność.

Oto jak opisuje wycieczkę poranną wgłąb dzikiej puszczy peruwjańskiej: „Rańmy chłód i świeża, leśna atmosfera pobudza w nas niezwykłą rzeźkość i ruchliwość. Uczucie szczęścia przenika całe nasze jestestwo, dziękujemy w duszy Bogu za te chwile zadowolenia. Stajemy się szczerze pobożnymi, a zachwyt nasz i wdzięczność dla Stwórcy jest najgłębszym przejawem prawdziwej pobożności. Dalecy jesteśmy od tych ludzi, którzy kiwaniem głowy nad książką od nabożeństwa starają się ujawnić podniesienie swego ducha ku Niebu, kiedy myśl ich odbiega w sfery nic wspólnego z Bogiem niemające. I myśmy się tak kiedyś modlili i widzimy całą różnicę pomiędzy obecnem a dawnem uczuciem pobożności. I niech mi wolno będzie powiedzieć, że ta niema rozmowa nasza ze Stwórcą wśród dziewiczej puszczy stokroć jest szczerszą, a przez to lepszą, aniżeli stereotypowe bicie się w piersi w kościele. Tam chcieliśmy z Bogiem porozmawiać i znajdujemy bezmyślny tłum ludu, który uwagę naszą od celu odwodzi, tu, na łonie dziewiczej przyrody, wśród drzew niebotycznych, chcąc nie chcąc z Panem Wszechmocy spotkać się musimy, gdyż Go czuć wszędzie i myśl nasza bezwiednie prawie wznosi się ku Niemu, łącząc wszystkie uczucia nasze w jednym okrzyku zachwytu, który jest alfą i omegą naszej pobożności. Wieluż to ateuszów nawróciłaby jedna chwila takiego obcowania z nieskalanem dziełem Stwórcy!"

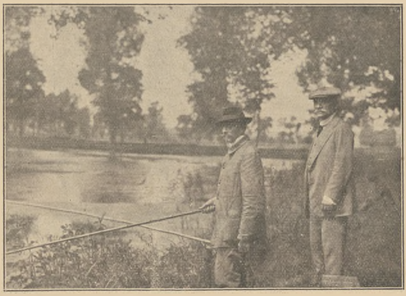
Trudno piękniej wyrazić religijny zachwyt, jaki ogarnia dusze poety-myśliwego na łonie dziewiczej puszczy. Dziś, gdy promienny duch pisarza „spotkał się z Panem Wszechmocy", jedynem pocieszeniem naszem niech będzie trwałość Jego dzieł, które nie umrą.

JULJAN EJSMOND.

JAN SZTOLCMAN JAKO UCZONY.

Będąc zawsze i wszędzie niezwykle skromny nie dawał Sztolcman pozorów uczonego tej miary, jakim był. Jestem o tem głęboko przekonany, że wielu z jego znajomych nie wiedziało nawet, iż zajmuje się on pracą naukową.

A jednak bez wątpienia właśnie ta praca stanowiła główną istotę jego życia. W polu i kniei odpoczywał po pracy, na polu piśmiennictwa łowieckiego był działaczem społecznym, lecz uczonym był przedewszystkiem. I to uczonym z powołania, z Bożej łaski. Nauka była jego ukochaniem. Być może, nieraz odrywało go od niej życie. Powracał jednak do niej zawsze. Pracował bowiem na tej niwie nie z obowiązku, lecz z potrzeby wewnętrznej. Dlatego też od pracy naukowej nie zdołał go oderwać ani wiek podeszły, ani nieszczęścia, których w ostatnich latach swego życia zaznał nazbyt wiele.



Latem, nad wodą... Ś. p. Sztolcman i prezes Wł. Słenczyński w Wilanowie

Zawsze pogodny i cichy, nieszukający rozgłosu, a nawet unikający go, był mało znany w kraju, jako uczony. Znano go w Polsce jako myśliwego, podróżnika i popularyzatora wiedzy. Jako uczonego znano go bez porównania więcej w kulturalnych krajach Starego i Nowego Świata.

W istocie zasługi położył bardzo duże. Prze-

dewszystkiem w zbadaniu Peru i Ekwadoru, gdzie zebrał materjały imponująco bogate. Młodym był bardzo, gdy zaczynał ową pracę w tym kierunku, wkrótce jednak pracować potrafił, jak człowiek dojrzały, bogaty w wiedzę i doświadczenie. Ma bowiem ten dar, tak rzadki u nas, chwytania istoty rzeczy, wnikania w duszę tego, co miał dokonać lub rozstrzygnąć. Dlatego też materjały naukowe, które nadsyłał, miały tak dużą wartość.

Przez długie lata siedział Sztolcman w puszczy, a materjały przezeń nadsyłane, opracowywali inni. Ale po powrocie z Ameryki wstępuje Sztolcman szybko na widownię samodzielnej pracy naukowej, i począwszy od roku 1881, a skończywszy na 1927, w którym to roku wyszła jego praca ostatnia, publikuje kilkadziesiąt rozmaitych rozpraw. W trzech dziedzinach wiedzy pozostawił Sztolcman po sobie trwały dorobek: w biologji ogólnej, w systematyce zwierząt i w zoologji.

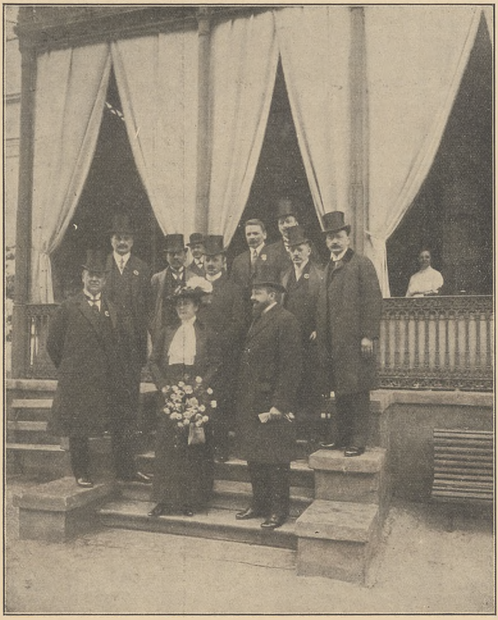
Mówiąc o tej pierwszej dziedzinie, wspomnieć trzeba przedewszystkiem o pracy wydanej w roku 1885 w „Proceedings of the Zoological Society of London". Tytuł tej pracy brzmi: „Quelques remarques sur le dimorphisme sexuel". Rozpatruje w niej Sztolcman zagadnienie dymorfizmu płciowego, przeciwstawia się poglądom Darwina w tych sprawach i stwarza własną hipotezę równowagi płciowej.

W dziedzinie systematyki jest Sztolcman ornitologiem. Pracuje przedewszystkiem nad ptakami Ameryki południowej, opracowuje mianowicie zbiory nadsyłane dla Muzeum hr. Branickich przez swego następcę w Ameryce południowej, Jana Kalinowskiego. W ostatnich latach swego życia opracował zbiory, zmarłego przedwczesną śmiercią w puszczach Ameryki południowej, podróżnika polskiego Tadeusza Chrostowskiego. Zajmuje się też i fauną Azji, publikuje mianowicie dwie rozprawy, dotyczące ornitofauny Turkiestanu.

W zbieraniu materjałów do znajomości obyczajów zwierząt był Sztolcman pracownikiem szczególnie wyróżniającym się. Tu zyskał sobie sławę niemniejszą, niż na polu systematyki ptaków. Odkrywając w puszczach, czy też górach Peru nowe gatunki zwierząt, badał jednocześnie ich życie, obyczaje, stosunek środowiska i t. d. Często sam jeden zdobywał to wszystko, czemu zwykle dopiero wielu badaczy, powoli odsłaniając rąbek tajemnicy, podołać mogło.

Nie tutaj jest miejsce na dokładne omawianie naukowej działalności Sztolcmana. To też te kilka słów, które na ten temat skreśliłem, mają być tylko uzupełnieniem do tego, co inni koledzy i przyjaciele zmarłego podadzą o jego tak wszechstronnej działalności.

JANUSZ DOMANIEWSKI.



Ś. p. Jan Sztolcman śród organizatorów jednej z dawnych wystaw psów w siedzibie Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie przy ul. Nowy Świat.

Jan Sztolcman jako organizator łowiectwa polskiego.

Nagle, niespodziewanie, wprost z posterunku odszedł od nas Ten, co sztandarowym był człowiekiem łowiectwa polskiego, jego największą chlubą i ozdobą.

Chciałbym tutaj choć w krótkich słowach przedstawić, czem Sztolcman był dla współczesnego łowiectwa polskiego. Gdy rozpoczynał swą na tem polu działalność, w dziedzinie łowiectwa pierwotne panowały stosunki. Nikt nie szanował granic, ani uznawał terminów ochronnych, nieznane były zasady etyki myśliwskiej, nie było towarzystw łowieckich, powołanych do kształcenia swych członków w zasadach prawidłowego myślistwa; nie było hodowli zwierzyny i rasowych psów myśliwskich; nie było prasy i literatury łowieckiej. Na tak dziewiczem polu, gdy mało kto rozumiał i uznawał potrzebę tych wszystkich rzeczy, rozpoczął Sztolcman swoją działalność. Był jednym z założycieli obecnego Polskiego Towarzystwa Łowieckiego, zgromadził w niem najlepsze siły z pośród ówczesnych myśliwych, stworzył pierwsze w b. zaborze rosyjskim czasopismo łowieckie „Łowiec Polski", stworzył bogatą i wyczerpującą wszystkie dziedziny, bądź oryginalną, bądź tłomaczoną, polską literaturę łowiecką; władając znakomicie mową ojczystą, stworzył współczesny polski język myśliwski, urządzał wystawy i próby polowe psów myśliwskich; słowem, nie było dziedziny łowieckiej, w którejby coś się bez Sztolcmana działo, gdzie On nie byłby duszą i organizatorem każdego przedsięwzięcia. Powodzenie na całej linji było wynikiem tych głęboko pomyślanych i celowo przeprowadzanych zabiegów. W przeddzień kataklizmu dziejowego, z którego miała narodzić się Polska, były zabór rosyjski, teren działalności łowieckiej Sztolcmana, posiadał liczne szeregi racjonalnych myśliwych, doskonałe zwierzostany, bogatą i najzupełniej współczesną literaturę łowiecką. Dla okresu tego imię Sztolcmana stało się symbolem.

W grzmotach i błyskawicach dziejowej burzy, niszczącej częstokroć bez rozróżnienia to, co cenne, i to, co zmurszało, zginęła znaczna część owoców przedstawionej powyżej działalności Sztolcmana. Wyginęły niemal doszczętnie na ziemiach polskich żubry, łosie, kozice i bobry; zdziesiątkowane zostały, bogate niegdyś zwierzostany, zwarte szeregi prawidłowych myśliwych poczęła zalewać fala nieokrzesanych tępicieli wszystkiego, co żywe; ustały opieka i poparcie władz, zajętych innemi ważniejszemi zadaniami; przestał z powodu ciężkich warunków powszechnych wychodzić „Łowiec Polski"; słowem, nad mającem powstać łowiectwem polskiem, u samej jego kolebki stanęło widmo ostatecznego zniszczenia i zagłady.

Gorący patrjota polski, Sztolcman, rozumiejący, że stosunki łowieckie są wskaźnikiem kultury kraju ,a fauna naturalnem jego bogactwem i ozdobą; pojmujący łowiectwo jako trudną i subtelną umiejętność współżycia człowieka z otaczającą go żywą przyrodą, pragnący, by naród polski i w tej dziedzinie nie ustępował innym, w tych ciężkich warunkach nie stracił ochoty do pracy i walki o lepszą przyszłość polskiego łowiectwa. Wiedząc dobrze, że w jedności siła, tworzy razem z innymi wybitnymi myśliwymi Polski, Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, układa dla niego statut, zbiera skrzętnie tezy i materjały dla przyszłej polskiej ustawy łowieckiej, propaguje wśród polskich myśliwych ideę należenia do międzynarodowej ligi ochrony żubra. Nie poddając się zniechęceniu i nie ustępując przeciwnościom, z młodzieńczą wytrwałością organizuje, pisze, pracuje, zabiega, pewny, że wcześniej czy później wysiłki jego uwieńczy powodzenie. To ostatnie niebawem szybkimi krokami zaczyna koronować poczynania tego światłego, prze-

ANTOLOGJA UTWORÓW SZTOLCMANA.

I. POLOWANIE NA DZIKI W ROŻANCE.

Dla uczczenia ś. p. Jana Sztolcmana, powtarzamy tu w odcinku pierwszy Jego felieton w odcinku pierwszego numeru pierwszego rocznika „Łowca Polskiego" z r. 1899.

W niedzielę, 5 marca r. b. udaliśmy się pociągiem kolei Terespolskiej na Brześć do Włodawy, zaproszeni na dziki przez Augusta hr. Zamoyskiego. Było nas czterech, a mianowicie hr. Branicki Ksawery, hr. Zamoyski Władysław, p. Szwede Aleksander i piszący te słowa. We Włodawie stanęliśmy w poniedziałek, o godzinie 11 i pół., a stamtąd w niespełna trzy kwadranse rącze konie dowiozły nas do Rożanki, gdzie nas oczekiwały niespodzianki wspaniałego polowania. Zjadłszy na prędce obiad, udaliśmy się zaraz do lasu, gdzie naszą drużynę myśliwską oprócz szanownego gospodarza, wzmocniły siły miejscowe w osobach pp. Pawlasa, nadleśniczego dóbr Rożańskich i Pliszewskiego — plenipotenta hr. Zamoyskiego.

Polowania Rożańskie cieszą się od lat dziesięciu zasłużoną sławą. Na zimowych łowach pada tam dziennie sto kilkadziesiąt zajęcy, kilkanaście kozłów, kilka dzików i lisów. Nadto w Rożance kwitnie jedyny dzisiaj w naszym kraju, a może i w całej Europie, rodzaj polowania, polegający na kłóciu dzików przy psach. To też najciekawszą dla mnie rzeczą do obejrzenia była psiarnia, z którą już miałem sposobność zapoznać się lat temu kilka na polowaniu w Staszowie.

Psiarnę rożańską składa kilkanaście psów, najrozmaitszego pochodzenia, maści i wielkości. Są to zwykłe, wiejskie kundysy, rekrutowane tu i owdzie w miarę tego, jak się przekonano o ich zajadłości i ciętości w stosunkach z trzodą chlewną. Napróżno będziemy tu szukali rasy lub kształtów; poczciwe Szarki, Burki, Kruczki i t. p. nie zachwycają nas ani jednem ani drugiem. Niemniej jednak są to wszystko zasłużeni weterani, którzy niejedną ranę odnieśli w zapasach z rozjuszonymi dzikami. Ten ma szyję pokiereszowaną, tamten brzuch cerowany, inny na lędźwiach nosi olbrzymie szramy, ten wreszcie stracił to, co miał najdroższego; słowem ani jednego pomiędzy nimi nie znajdziesz całego.

Najważniejszą, choć najmniej ryzykującą swe życie, osobistością — jeśli się tak wolno wyrazić — w tej całej drużynie, jest „Bodrosz", rodzaj owczarka sprowadzonego z Węgier i używanego za tropowca. Jego to puszcza się za tropem zdrowego lub postrzelonego dzika. „Bodrosz", chwyciwszy raz trop, szybko mknie za nim, a skoro zwierza dojdzie, zaczyna głośno naszczekiwać. Zwykle dzik, atakowany przez pojedynczego psa, zwraca się ku niemu, nie myśląc bynajmniej uciekać. Wówczas myśliwi podsuwają się, o ile można, najszybciej do miejsca, gdzie pies dzika stanowi; tuż za nimi biegną psiarki, mając każdy po dwa psy na

widującego bojownika sprawy łowieckiej w Polsce. Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, w którym jest wiceprezesem Wydziału Wykonawczego i jednym z najbardziej czynnych członków Zarządu, szybko łączy w sobie coraz liczniejsze rzesze myśliwskie i zdobywa uznanie u społeczeństwa i władz. Tezy opracowanego przy przeważnym udziale Sztolcmana projektu polskiej ustawy łowieckiej, znajdują swój właściwy wyraz w wydanem niedawno prawie łowieckiem, a chwila wyjścia na świat tego prawa zastaje jednolitą i we wszystkich szczegółach przygotowaną opinję polskiego świata łowieckiego, reprezentowaną przez Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, co znakomicie ułatwia władzom wydanie tego prawa. Ukochane dziecko Sztolcmana, wznowiony jako organ Centralnego Związku „Łowiec Polski" szybko z miesięcznika przeistacza się w dwutygodnik, a następnie w tygodnik, dochodzi do niebywałego rozwoju, docierając do coraz liczniejszych rzesz myśliwskich; zwierzostany w wielu miejscowościach się poprawiają, słowem, niestrudzona, niezrażona niczem, przewidująca wszystko działalność Sztolcmana w odrodzonem Państwie Polskiem ponowne święci tryumfy.

W zmarłym ś. p. Janie Sztolcmanie naród polski traci jednego z najzasłużeńszych bojowników o dobre imię jego kultury, a Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, i z nim całe łowiectwo polskie — jednego z najzasłużeńszych i najdzielniejszych swoich kierowników i wodzów duchowych, ojca współczesnego łowiectwa polskiego. Bogaty posiew, rzucony w dusze myśliwych polskich przez Sztolcmana, nie zginie. Liczne rzesze myśliwych polskich, przejętych [illegible]o ideami, nie dadzą zniszczeć owocom Jego pracy, i drogami wskazanemi przez Sztolcmana, będą dalej pracowały nad rozkwitem łowiectwa i kultury polskiej. Dziś na mogiłę ukochanego przez wszystkich wodza łowiectwa polskiego, spadają ciężkie łzy myśliwych całej Polski.

WALENTY WŁODZIMIERZ GARCZYŃSKI.



Ś. p. Jan Sztolcman, Ks. hr. Branicki i hr. Poletyłło.

---

smyczach. Podbiegłszy jak najbliżej do zwierza, na dany znak psiarki winni spuścić wszystkie psy naraz, aby te kupą dopadłszy dzika, mogły go wspólnie nakryć, gdyż inaczej, dochodząc pojedyńczo, zwierza spłoszą i nie będą go w stanie utrzymać. Myśliwy ma wtedy o tyle ułatwione zadanie, że może podejść do dzika i skłóć go kordelasem.

Ujemną stroną tego rodzaju polowania w Rożańce są straszne gąszcze. Znaczna część lasu w tym majątku składa się z młodych zagajeń sosnowych, tak gęstych, jak szczotka, a ponieważ atakowany zwierz najczęściej w takich zagajnikach się kryje, więc zwykle kłóć go wypada w trudnym do przebycia gąszczu, gdzie w razie zaczepnej ze strony jego akcji, myśliwy nie jest w stanie uskoczyć na krok jeden. A mimo że dotychczas skłóto w Rożańce 133 dzików (w tej liczbie przeszło sto niestrzelanych, a między nimi sporo odyńców i wycinków) obyło się szczęśliwie bez wypadków z ludźmi.

Kłócie dzików w Rożańce ma swą księgę i swego kronikarza. Na jednej stronicy tej księgi są porobione rubryki, w których się zapisuje data polowania, rewir, w którym dzik został skłótym, nazwy psów użytych do polowania i nazwisko myśliwego, który skłół dzika. Na drugiej zaś stronie hr. August własnoręcznie opisuje wszystkie perypetje polowania. Jako pamiątkę zachowuje się wszystkie szczęki skłótych dzików, które odpowiednio oprawione zdobią przedsionek pałacu Rożańskiego.

Zanim przystąpię do zdania relacji z naszego polowania, opiszę pokrótce samą psiarnię, jako wzorowo urządzoną. Jestto czworobok otoczony wysokim parkanem. Front zajmuje budynek przedzielony na dwoje sienią: na prawo znajduje się kuchnia dla psów, na lewo t. zw. lazaret, w którym poszwankowane sztuki przebywają do czasu wyzdrowienia. W koło podwórza znajdują się budy, a raczej jedna wielka buda, w przedniej ścianie której są porobione otwory na psy: każdy pies jest na łańcuchu i gdy siedzi na zewnątrz, robi wrażenie, jakby był izolowany od reszty towarzystwa; wewnątrz jednak wszystkie psy widzą się wzajemnie, a nawet sąsiadujące ze sobą mogą się zbliżać na długość łańcucha. Nad każdym otworem wypisana jest białą farbą nazwa psa. Wewnątrz budy na całej jej długości ciągnie się na stopę lub może więcej nad ziemią pomost, wysłany miękko słomą. Otwory dla psów opatrzone są drzwiami; w razie silnego zimna drzwi zamyka się.

Do wożenia psów na polowanie używa się wielkiego szabrana, zwanego w lokalnej gwarze „tramwajem", a opatrzonego wkoło galeryjką, do której wszystkie psy są przywiązane. Tym sposobem unika się wszelkich nieporozumień pomiędzy tymi zaciętymi zapaśnikami. Właściciel ma zawsze z sobą instrumenty chirurgiczne do cerowania silniej pokaleczonych.

Zapoznawszy czytelnika z systemem polowania, w Rożańce, możemy wrócić do naszej relacji.

Brak śniegu utrudniał bardzo zadanie i dlatego

JAN SZTOLCMAN JAKO TWÓRCA „ŁOWCA POLSKIEGO".

I. DZIEJE WYDAWNICZE.

Bez przesady rzec można, że „Łowiec Polski" to dzieło Jana Sztolcmana. On to pismo założył w roku 1899-ym w Warszawie; podpisywał je jako redaktor i wydawca; przerwał wydawanie po wybuchu wojny w roku 1914-ym — z konieczności; wznowił zaś w roku 1924 już pod egidą Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, jako wydawcy.

To też dzieje dotychczasowe „Łowca Polskiego" są zarazem znaczną częścią historji życia Jana Sztolcmana.

Zmiana w wydawnictwie zaszła po upływie 5 lat: we wrześniu 1904 roku, kiedy w Warszawie powstała pierwsza „Spółka Myśliwska", która nosiła oficjalną nazwę: „Warszawska Spółka Myśliwska: Jan Sztolcman, Władysław Słonczyński, Antoni Wolski". Oprócz nich należeli do założycieli pp. Stanisław Lilpop, Stanisław Rostkowski, Ignacy Apenszlak, Józef Zarembski, dr. Antoni Rostkowski, Robert Kramm, Aleksander Ronczewski, Mikołaj Ronczewski, Ksawery hr. Branicki, dr. Stanisław Zaborowski, Wiktor Stephan i Andrzej Sawicki.

Do spółki tej Jan Sztolcman wniósł oprócz pieniędzy w gotówce, prawa swoje do połowy wydawnictwa „Łowiec Polski" i „Kalendarz Myśliwski".

Drugi spólnik, ś. p. Józef Zarembski, również wniósł pieniądze w gotówce i prawa do połowy wydawnictwa „Łowiec Polski" i „Kalendarz Myśliwski".

W umowie zaznaczono dalej:

„Józef Zarembski i Jan Sztolcman, będąc właścicielami wydawnictwa „Łowiec Polski" i „Kalendarz Myśliwski", obowiązują się w ciągu całego czasu istnienia Spółki prowadzić te wydawnictwa, przytem Jan Sztolcman w charakterze redaktora i wydawcy, na rachunek i na korzyść Spółki, za wynagrodzeniem po 750 rubli rocznie każdemu, wypłacanych po upływie każdego miesiąca, niezależnie od wynagrodzenia za pracę literacką. Wydawnictwo „Łowiec Polski" i inne wydawnictwa Spółki, Sztolcman i Zarembski prowadzić będą samodzielnie w takim kierunku, w jakim były prowadzone dotychczas. Kwestje jednak, tyczące się interesów Spółki, będą rozstrzygane przez komitet redakcyjny, składający się z nich obydwóch, oraz wszystkich spólników firmowych".

II. KOMITET REDAKCYJNY.

Nazwa „Komitet Redakcyjny" w powyższej umowie wymieniona, nie jest jednak ścisła. Był to raczej „Komitet Wydawniczy", gdyż do spraw ściśle redakcyjnych nikt ze „Spółki" się nie mieszał.

Posiedzenia komitetu literacko - redakcyjnego odbywały się właściwie w redakcji codziennego pisma konserwatywnego „Słowa", która mieściła się pod Nr. 15 przy ulicy Wareckiej.

Ś. p. Jan Sztolcman przychodził do pokoju redakcyjnego, w którym siedzieli stale razem ś. p. Józef Zerembski i niżej podpisany, i tam we trzech układaliśmy numery po zakwalifikowaniu artykułów do druku.

Przez czas dłuższy „posiedzenia" te odbywały się parę razy tygodniowo w nieistniejącej już obecnie cukierni Jackowskiego, na rogu Nowego - Światu i Wareckiej, — o godzinie 1-ej po południu, kiedy cukiernia ta bywała absolutnie pusta. Na „posiedzenia" te zachodził od czasu do czasu jedynie p. Stanisław Rostkowski na pogawędkę.

---

nasz szanowny gospodarz był bardzo niespokojny o pomyślny rezultat łowów. Za to pogodę mieliśmy doskonałą, jasne słońce usposabiało wesoło całe towarzystwo, a mrozik kilkostopniowy, przy ostrym wietrze, szczypał nas nieco za uszy. Polować mieliśmy ze sztućcerami, a tylko postrzałków brać psami i doklówać.

Cały las Rożański jest doskonale do polowania urządzony. Regularne linje, przecinają go na wszystkie strony, a chociaż linje te są bardzo wązkie, to niemniej zajmują one około 50 włók na całej przestrzeni lasu. Niektóre z nich zaorywa się i obsiewa bulwą, lub innemi roślinami pastewnemi. W zagajeniach, aby ułatwić nieco strzały, chojaki są podkrzesane przy linjach na odległość kilku kroków po obu stronach, a przed stałemi stanowiskami porobiono małe przecinki, ułatwiające spostrzeżenie zwierza, gdy ten do linji dochodzi.

Ponieważ dziki trzymają się przeważnie najbardziej gęstych zagajeń, więc i zadanie prowadzącego łowy polegało głównie na pędzeniu tych kultur. Pierwszego zaraz dnia, jakkolwiek zaczęliśmy polować dopiero koło 2-ej po południu, udało nam się mieć na rozkładzie trzy dziki, z których jeden piękny pojedynek (350 funtów) legł od kuli hr. Augusta.

Najlepiej powiodło nam się polowanie drugiego dnia, to jest we wtorek, 7 marca, w dniu tym bowiem padło 7 dzików i 2 lisy. Było tam i kilka pudeł, lecz takowe łatwo wytłómaczyć się dają wązkością linij i strasznym gąszczem po obu stronach. Zauważyliśmy też, że nietylko dziki, ale nawet i lisy w gąszczu tym wytrzymują zwykle do ostatniej chwili, i dopiero wyskakują niespodzianie, gdy obławnicy są już na odległość kilkunastu kroków od linji. Dnia tego obława przeszła obok, nie zauważywszy dużego, zabitego pojedynka, a jednak ludzie szli na odległość zaledwie kilku kroków jeden od drugiego. Na dwa postrzelone dziki puszczaliśmy psy i wzięte przez nie doklówaliśmy.

Dzień 8 marca był znacznie gorszy, gdyż padło tylko 3 dziki (jeden pojedynek 375-funtowy, zabity przez hr. Augusta), lecz dnia tego było więcej pudeł, niż sztuk zabitych.

Wreszcie ostatni dzień (9 marca) dał nam 5 dzików, w których liczbie — na nieszczęście — 3 prośne lochy. Trudno było jednak ustrzedz się od zabicia macior, tak strzały do dzików były niespodziane i zrywcze.

Gdy dnia następnego szykowaliśmy się do odjazdu, spoglądaliśmy dumnie z okien pałacu rożańskiego na szubienicę, ustawioną vis a vis, na której majestatycznie wisiało 18 dzików (w ich liczbie 3 pojedynki) i 2 lisy. Podziękowawszy Szanownemu Gospodarzowi za prawdziwą ucztę myśliwską, jakiej nam dostarczył, z żalem opuściliśmy Rożankę, bo chwile tam spędzone zaliczamy do najmilszych.

Świetny rezultat łowów, wobec kompletnego braku śniegu, zawdzięczać należy w znacznej części p. Pawlasowi, nadleśnemu dóbr Rożańskich, który nadzwyczaj umiejętnie prowadził całe polowanie.

JAN SZTOLCMAN.

Gdy zaś takie posiedzenie południowe nie dochodziło do skutku wskutek nieobecności którego z nas trzech, to narada redakcyjna odbywała się wieczorem między 7 a 8-ą w „Udziałowej", na rogu Nowego-Światu i Al. Jerozolimskiej, gdzie także mniej więcej o tej porze co wieczór stale się zbierali przy wspólnym stoliku wybitni członkowie ówczesnego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, obecnie już przeważnie nieżyjący.

Ś. p. Sztolcman i Zarembski byli tak uprzejmi, że podczas 10-lecia „Łowca Polskiego" wydrukowali w nim specjalne wyróżnienie mojej współpracy redakcyjnej.

III. PIERWSZY NUMER.

Przystępując do wydania pierwszego numeru „Łowca Polskiego" w kwietniu 1899 roku, dodano do tego tytułu podtytuł:

„Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich".

W odezwie redakcyjnej napisano:

„Ogół naszych myśliwych (w b. zaborze rosyjskim) nie ma ani źródeł, z których czerpałby wiadomości w kierunku prawidłowej gospodarki łowieckiej, ani organu, około którego mógłby się skupić dla wymiany myśli i wzajemnego komunikowania sobie wyników osobistych doświadczeń i spostrzeżeń, niejednokrotnie bardzo ważnych dla łowiectwa wogóle, a naszego myślistwa w szczególności".

Program „Łowca Polskiego" Jan Sztolcman streścił w następujących słowach:

„Rozpowszechnianie pożytecznych wiadomości o rozmnażaniu, pielęgnowaniu i ochronie zwierza łownego, krzewienie zdrowych zasad etyki łowieckiej, szerzenie pojęć o poszanowaniu cudzej własności w zastosowaniu do myślistwa — stanowić będzie najgłówniejsze zadanie „Łowca Polskiego".

Po za tem będziemy się starali informować czytelników naszego pisma o wszelkich najnowszych wynalazkach i postępach w dziedzinie broni myśliwskiej, teorji i techniki strzału oraz balistyki i sportu strzeleckiego; poświęcimy też nie mało miejsca psom myśliwskim, tym najwierniejszym towarzyszom myśliwych. Wogóle nie zaniedbamy niczego, co ma związek z myślistwem, co może być pożyteczne lub ciekawe dla prawdziwego miłośnika łowiectwa".

Charakterystyczne jest to, że w odezwie Jan Sztolcman oblicza ilość pozwoleń wydawanych corocznie przez władze na prawo utrzymywania broni myśliwskiej „w gubernjach Królestwa Polskiego" na blisko 50.000.

Do grona pierwszych współpracowników „Łowca Polskiego" powołani zostali przez Jana Sztolcmana: Józef hr. Potocki, Stefan ks. Lubomirski, Aleksander Rembowski, Juljan Biesiekierski, Władysław Słonczyński, Michał Siemiradzki, Franciszek Ejsmond (ojciec obecnego Redaktora), Józef Zarembski, August Sztolcman, Romuald Więckowski, Mścisław Godlewski (junior), Władysław Jelski, Karol Albus, Wiktor Stephan, Edward Orda, Feliks Rożyński i Maksymiljan Biesiekierski.

IV. PIERWSZE ARTYKUŁY JANA SZTOLCMANA.

W N-rze 1 „Łowca Polskiego" pierwszy odcinek wyszedł z pod pióra Jana Sztolcmana p. t. „Polowanie na dziki w Rożance", Pierwszy artykuł z podpisem S. nosi tytuł: „Nadużycia w handlu zwierzyną"; drugi z podpisem: Jan Sztolcman — „Z ubiegłego sezonu". Trzeci (J. S.) — „Dubeltówki jednocynglowe i bezcynglowe".

W N-rze 2 niema żadnego podpisanego artykułu Sztolcmana.

Nr. 3: „Nowy rodzaj zwierzyny: Kusak (Tinamou)". — „O sokolnictwie. I. Krótki rys sokolnictwa".

II. W PUSZCZY PERUWJAŃSKIEJ.

Dziewicza puszcza zazdrosną była o swe skarby, skąpiła nam ich, stawiała przeszkody do ich zdobycia, lecz za to cóż za rozkosz, gdy się je zdobywało. Nigdy mi się w pamięci nie zatrą te moje pierwsze chwile na łonie wspaniałej, podrównikowej przyrody.

Zrana budzą nas chrapliwe, stentorowe głosy wyjców, zdolne dreszczem strachu przejąć niewtajemniczone w ich pochodzenie osoby. Raz pojedyncze głosy dudnią w powietrzu, to znów mieszają się w jeden chór, jakby całe stado jednocześnie ryczało. W długich pauzach, jakie małpy zwykły między jednem a drugiem ryczeniem robić, słychać wrzaskliwe głosy pewnej pięknej papugi (Pionus chalcopterus), żerującej dużemi stadami na drzewach wkoło czakry. Wyszedłszy z namiotu, oddychamy świeżem, pełnem wilgoci powietrzem. Niebo czyste złoci się już na wschodniej stronie, zwiastując szybkie pojawienie się słońca. Życia wkoło pełno. Po bananiarni i na plantacji kręcą się różnobarwne ptaszki, między którymi znana nam już tanagra modroskrzydła (Tanagra cana) i „Viuda" (Rhamphocoelus icteronotus) — czarno - aksamitny ptaszek z żółtym kuprem, najczęściej widzieć się dają. Śpiew kacyka (Icterus mesomelas), powtarzającego pięknie wygwizdane zwrotki, rozlega się na wszystkie strony. Zwykle zaczyna jeden gdzieś niedaleko od nas, prześpiewa swą strofkę i zamilknie, lecz jednocześnie drugi dalej podchwytuje ten sam kuplecik, za nim trzeci jeszcze dalej. Robi to wrażenie, jak gdyby echo powtarzało dokładnie te same nuty. Dźwięczny głos kusaka (Formicarius) przypominający świst lokomotywy, drży w powietrzu czysto i donośnie. Z nadrzecznych gąszczy bambusowych dochodzi nas wrzaskliwe łokowanie penelop (Ortalida erythroptera), imitujące jakby wyrazy „uataraku", lub „manakaraku", skąd i nazwy nadawane tym ptakom przez krajowców Ameryki Południowej, pochodzą.

Pełni zachwytu dla tego cudnego widoku, idziemy do poblizkiego strumienia wykąpać się w jego przejrzystych wodach, poczem szybko pijemy ranną kawę, zagryzając pieczonym bananem i zarzuciwszy strzelbę na ramię, śpieszymy do lasu, by z rannych godzin skorzystać, gdyż wtedy najwięcej ptactwa spotkać można. Towarzysz mój pozostaje w domu, gdyż to jego dzień zajmowania się kuchnią. Wycieczkę moją kieruję ku strumieniowi, pragnąc łożyskiem jego puścić się w górę ku drugiej czakrze Ortizów. Niegłęboka woda pozwala przechodzić raz na jedną, to znów na drugą stronę strumienia; niekiedy zwalony pień drzewa, lub porzucone łodygi kolczastego bambusu tamują chwilowo drogę. Wielki mój nóż (machete) służy mi wówczas do utorowania drogi, posuwam się więc dalej swobodnie.

Polowanie zapowiada się dobrze. Zaraz na wstępie spotykam niewielkie stadko penelop, które

N. 4: „O sokolnictwie. II. Ptaki myśliwskie: Orły (Aquilae). — Sokoły (Falcones)". — Sztuczne nory lisie" (S).

Nr. 5 i 6: „O sokolnictwie".

Nr. 7: „O sokolnictwie. — Jastrzębie (Accipitres)".

Nr. 8: „O sokolnictwie. III. Łowienie sokołów".

Nr. 10: „O sokolnictwie. IV. Układanie sokołów". — „Jak nosić strzelbę?" (S). — „Z literatury łowieckiej" (S).

Nr. 11: „O sokolnictwie".

Nr. 12, 13 i 14: „Gospodarstwo Łowieckie w Spale". — „O sokolnictwie".

Nr. 15. „Kule rozkwitające (ekspansywne)". — „Z przyrodoznawstwa. — Rozmiary i waga największych latających ptaków" (S).

Nr. 16: „Olbrzymi łoś Amerykański" (J. S.).

W pozostałych dwóch numerach pierwszego rocznika „Łowca Polskiego", obejmującego tylko 18 numerów (od kwietnia do grudnia) niema podpisanych artykułów Sztolcmana.

* * *

W „Kalendarzu Myśliwskim" na rok 1900, wydania B. Ronczewskiego w Warszawie, mieści się na początku „Poradnik dla myśliwych", zebrany przez Jana Sztolcmana. Są to ogólne wskazówki o broni, jej próbowaniu; teorja strzelania do zwierzyny; o psie myśliwskim, ubraniu, oraz rady z zakresu etyki myśliwskiej.

* * *

Ciąg dalszy prac Jana Sztolcmana w chronologicznym porządku zamieścimy w następnych numerach.

JERZY OREŃSKI

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

POGRZEB Ś. P. JANA SZTOLCMANA.

Dnia 2 maja odbył się w Wilanowie pogrzeb ś. p. Jana Sztolcmana.

Nad grobem pierwszy przemówił w imieniu Min. Oświecenia p. Przybyłowicz, podnosząc zasługi zmarłego dla oświaty w Państwie.

Następnie w imieniu Min. Rolnictwa, Zarządu Tow. Lit. i Dzien. Polskich oraz redakcji naszego „Łowca Polskiego" red. Juljan Ejsmond przemówił w następujące słowa:

„Pracujemy wszyscy na tej ziemi i dla tej ziemi, ażeby kiedyś spocząć w jej łonie. A choćbyśmy nad Nilem Błękitnym odbywali dalekie podróże, choćbyśmy deptali złote piaski pustyń afrykańskich i w zeribie śmiało spoglądali w oczy lwom, i choćbyśmy w puszczach peruwjańskich gonili za myśliwską przygodą, przyjdzie kiedyś taka podróż, która nas powiedzie w krainy od Nilu Błękitnego błękitniejsze.

Przypada mi dziś wielki i żałosny zaszczyt żegnania ś. p. Jana Sztolcmana w imieniu Ministerstwa Rolnictwa, Zarządu Tow. Lit. i Dzienn. Polsk. oraz Redakcji „Łowca Polskiego".

Nie będę wyliczał jego niepożytych zasług, jako wielkiego uczonego, świetnego pisarza, głośnego podróżnika, twórcy „Łowca Polskiego", nauczyciela myślistwa i niestrudzonego organizatora narodowego łowiectwa. Całe życie Jego było jednem pa-

---

z łatwością zejść się dają na strzał pewny. Jedna z nich rażona mym strzałem, pada w nieprzebyty gąszcz bambusów, gdy towarzyszki jej, spłoszone hukiem, śpiesznie odlatują w głąb lasu. Wydobycie zabitej sztuki zajmuje mi wiele czasu, gdyż bambusy rosną nadzwyczaj gęsto, a wielkie ich ciernie chwytają silnie za ubranie, drąc je na szmaty przy każdem niebacznem poruszeniu. Zwolna, obliczając starannie każdy ruch, posuwam się naprzód, nachylając się tam, gdzie potrzeba, lub tnąc nożem, gdy cieńszy bambus drogę tamuje. Z tryumfem wydobywam zabitą sztukę, przytraczam do torby i nabiwszy strzelbę, brnę dalej po wodzie, lub stąpam po drobnym żwirze tam, gdzie małe równinki zajmują wewnętrzne strony łuków strumienia.

Tu i owdzie spotykam mieszane stadka drobnych ptaszków, kręcących się wśród koron wysokich drzew, skąd nas pisk licznych głosów dochodzi. Nie zawsze jednak uda się dojść do drzewa, gdyż ptaszki długo na miejscu nie popasają, a gąszcz bambusowy wszędzie nam drogę tamuje. Czasami ponury, spokojnie siedzący na bambusach brodatek (Malacoptila panamensis) zwróci moją uwagę, lub piękny zimorodek (Ceryle inda) z zielonym, metalicznym wierzchem i rudym spodem, równym lotem przeleci koło mnie i zasiadłszy na zwisłych gałęziach, wypatruje w wodzie zdobyczy. I on powiększy wkrótce nasze zbiory.

Na wilgotnym piasku pobrzeża widać liczne ślady małej, leśnej sarenki (Subulo), przypominającej kasztanowatą barwą i prostymi, bez rozwidlenia różkami małą kózkę, tylko że brody nie posiada. W jednem znów miejscu zwraca uwagę naszą wielki, okrągły trop o czterech bardzo rozstawionych palcach; tuż obok inny, mniejszy znacznie, lecz zupełnie kształtem podobny do pierwszego. Widok ten emocjonuje nas nieco; nerwowo ściskamy strzelbę, patrząc, czy pistony trzymają się na kominkach; macamy w kieszeni parę kul, które zawsze w zapasie nawykliśmy nosić. Ostrożności te bardzo są usprawiedliwione, gdyż to trop jaguara, najniebezpieczniejszego z południowo - amerykańskich drapieżników, króla tych puszcz nieskończonych*).

Trop ginie zaraz w gąszczu; nadzieja spotkania się z drapieżnikiem słaba, a opowieści o jego krwiożerczości po większej części przesadzone. Na człowieka rzuca się w rzadkich bardzo wypadkach, przyciśnięty głodem, lub raniony niefortunnym strzałem. Wkrótce też zapominamy o chwilowej emocji, puszczamy się dalej, podziwiając coraz to nowy, a ciągle niezwykle piękny widok, jaki nam zakręty rzeki odkrywają. Słońce już się wzniosło dość wysoko, w cieniu jednak chłód przyjemny panuje. Z puszczy podnosi się jakaś woń nieokreślona,

*) Kręciła się wtedy w okolicy duża samica z młodym. Jeszcze przed wyjazdem naszym do Palmalu zabiła ona wieprza pod domem jednego z leczugalskich mieszkańców. Następnie Antoni spotkał ją koło Arenilas na trupie świeżo zabitej krowy.

smem pracy. Są straty, których nie sposób oddać słowami: słowa zbyt szybko milkną.

To też stoimy nad tym grobem przejęci nietylko tym wielkim bólem, którym napełnia każdego śmierć zasłużonego człowieka, ale i tym serdecznym żalem, co oczy zaćmiewa łzami nad trumną człowieka szlachetnego i ukochanego.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie, jako że życie Jego było samą pracą, a światłość wiekuista niechaj Mu świeci na wieki, jako że dzieła Jego były samą światłością".

Jako trzeci mówca zabrał głos dr. T. Jaczewski w imieniu Muzeum Przyrodniczego przy Uniwersytecie Warszawskim, a po nim prof. J. Sosnowski w imieniu Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, w której zmarły był profesorem nauk łowieckich.

W dalszym ciągu przemawiał prof. Janusz Domaniewski. Mówił on, o naukowych zasługach ś. p. Sztolcmana.

„Non omnis moriar. Jeśli cytuję te słowa, to nie dlatego, bym wątpił, że pamięć tego człowieka zaginie w sercach naszych. Przedziwny czar pogody i dobroci, którą roztaczał on dokoła siebie, pozostanie z nami na zawsze. Nie o tem więc chcę tu mówić, bo i wypowiedzieć to jest trudno. Jako przyjacielowi i najbliższemu współpracownikowi przypadł mi obowiązek przypomnienia naukowych zasług zmarłego. W tej dziedzinie właśnie zbudował on sobie najtrwalszy pomnik, a imię jego po wsze czasy dla nauki żyć będzie.

Ś. p. Jan Sztolcman urodził się w roku 1854. Od wczesnej młodości czując zamiłowanie do nauk przyrodniczych, po ukończeniu szkoły średniej zapisuje się na wydział matematyczno-przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego. Tu styka się wkrótce z wybitnymi, ówczesnymi zoologami warszawskimi, a przedewszystkiem ze swoim znakomitym poprzednikiem w nauce polskiej, z Władysławem Taczanowskim. Znajomość ta odgrywa wkrótce w jego życiu doniosłą i decydującą rolę. Gdy bowiem w roku 1874 Konstanty Jelski, który przez długie lata pracował w Ameryce Południowej dla Muzeum Warszawskiego, przeszedł na służbę rządu peruwjańskiego, wypadało go komuś zastąpić. Wówczas to niepożytych zasług mecenas nauk przyrodniczych, hrabia Konstanty Branicki, który łożył na polskie badania Ameryki południowej, idąc za radą Taczanowskiego, zaproponował Sztolcmanowi wyjazd do Peru. W roku 1875 Sztolcman po raz pierwszy ląduje w Ameryce. Początkowo wspólnie z Jelskim, później sam, bada okolice Chimboto, Tumbezu i Lechugalu. Później z pomorza kieruje się wgłąb Kordylierów i eksploruje dolinę Maranionu i Huallagi. Pracując z całkowitem zaparciem się siebie i z godną najwyższego podziwu wytrwałością, robi szereg doniosłych dla nauki odkryć. W roku 1881 wyczerpany wraca do Europy, ale po krótkim odpoczynku jedzie znowu. Tym razem wraz z Józefem Siemiradzkim, obecnym profesorem Uniwersytetu Lwowskiego kieruje się do Ekwadoru, który bada w latach 1882 — 1883.

Rezultaty eksploracji Sztolcmana w czasie tych wypraw, opracowuje szereg uczonych, zarówno polskich jak i obcych, a o bogactwie nagromadzonego przezeń materjału niech świadczy to, że do dziś dnia całkowicie nie został on opracowany.

W roku 1884 wraca Sztolcman do kraju, a w roku 1887 obejmuje stanowisko Dyrektora Muzeum Branickich, na którem pozostaje do czasu, aż hrabia Ksawery Branicki ofiarowuje swe zbiory narodowi. W czasie kierowania wspomnianą instytucją, a mianowicie w roku 1901 odbywa jeszcze jedną podróż egzotyczną, a mianowicie z Józefem Potockim do Sudanu. W roku 1919 z chwilą powstania Państwowego Muzeum Zoologicznego zostaje Sztolcman Wice-dyrektorem tegoż. Na tem stanowisku zaskoczyła go śmierć.

Jako samodzielny pracownik naukowy wystąpił Sztolcman na widownię w latach osiemdziesiątych i to odrazu z pracami takiemi, które jednają

---

którą pełną piersią wdychamy, jakgdybyśmy pragnęli część tej dziewiczej przyrody sobie przyswoić, do naszej istoty wszczepić. Zapominamy o wszystkich przeciwnościach: bóle cielesne dla nas nie istnieją: żyjemy chwilkę szczęściem absolutnem, gdyż nawet myśl o dalekiej ojczyźnie, o naszych starych rodzicach odbiegła nas zupełnie. Jesteśmy sami wobec puszczy i Boga, którego oddech czujemy w wilgotnem, aromatycznem powietrzu, w wesołych promieniach słońca, łamiących się na kroplach rosy, w łagodnym szmerze przejrzystego strumienia, w całym tym porywającym swą powagą i urokiem krajobrazie. O błogosławione chwile szczęścia i zapomnienia!

Nagle stajemy zdziwieni, osłupieni. Z gęstej kępy krzaków dochodzi nas gwizdanie, jakby ludzkie. Lecz przecież oprócz nas dwu niemasz nikogo w całym tym lesie. A zresztą, wsłuchując się, poznajemy, że żaden człowiek takby zagwizdać nie umiał. Krótka strofka powtarza się raz, drugi, trzeci. Melodyjne nuty posiadające jednocześnie głos flecika i srebrzysty dźwięk dzwoneczka, drżą w powietrzu z niesłychaną czystością. Brzmienia ich, ani precyzji żaden instrument, ludzką ręką wykonany, nie byłby w stanie naśladować, tak są wykończone, tak dźwięczne, tak porywające. Słuchamy osłupieni, z otwartemi ustami, powstrzymując oddech, aby jego szmerem nie stłumić ślicznej harmonji; obawiamy się ruszyć, aby nie spłoszyć wirtuoza, gdyż pragnęlibyśmy, aby tak śpiewał bez końca. Lecz umilkł cudowny śpiewak i tylko wyobraźnia powtarza nam jeszcze słyszaną dopiero co strofkę. Czekamy, aby ją jeszcze raz chociaż powtórzył, lecz napróżno. Wówczas tniemy gorączkowo gąszcz, aby śpiewaka zobaczyć, lecz mała, skromnie ubarwiona ptaszyna skryła się już wśród labiryntu liści i gałęzi, a my stoimy smutni, że ten porywający koncert trwał tak krótko.

Ptaszek, obdarzony tak ślicznym głosem, obok którego śpiew naszego słowika wydałby się niemal dysharmonją, należy do tej samej rodziny, co nasz strzyżyk wołowe oczko. Jest to sławny na Peru „organito" lub „flauterito"*) (Cyphorhinus), którego kilka gatunków zamieszkuje gorące lasy Ameryki Południowej i środkowej. Wielkości wróbla, posiada krótki ogonek, a ciemnoszarem i rudem ubarwieniem zlewa się z kolorami otaczających przedmiotów. Trzyma się zawsze największego gąszczu,

*) Już same nazwy (flauterito — flecista; organito — organki) wskazują dostatecznie na rodzaj śpiewu tego ptaszka. Różne gatunki tego rodzaju dość odmienny śpiew posiadają, choć zawsze czuć bliskie pokrewieństwo. I tak gatunek znaleziony przezemnie w kotlinie Amazonki (Cyphorhinus Salvini) śpiewał podwójnemi nutami; inny znów (C. dichrous), spotkany przezemnie nad górną Pastazą (w Ekwadorze) wygwizdywał niekiedy duety (po dwa naraz) — jeden drugiemu akompanjując tercjami lub kwintami. Gatunek palmalski zwie się naukowo C. phaeocephalus.



Ś. p. Jan Sztolcman podczas wyprawy afrykańskiej.

skacząc niewysoko nad ziemią lub po ziemi, a owady i larwy stanowią jego wyłączne pożywienie.

Tymczasem słońce wzbiło się już wysoko, grzejąc swymi prostopadłymi promieniami ziemię i roślinność; zmoczone deszczem nocnym liście schną szybko, a niektóre z nich więdną nawet pod silnem działaniem ciepła. Milkną powoli głosy ptaszków, przyroda zapada chwilową w drzemkę południowej sjesty. Żywe promienie światła słonecznego łamią się wśród gąszcza leśnej zieleni, wdzierając się jaskrawymi snopami w miejscach pozbawionych kopuły drzew. Różnobarwne motylki wirują swym cichym lotem w powietrzu, zbierając się gromadnie na mokrym piasku pobrzeża, gdzie długie godziny południowego skwaru poświęcają ssaniu wilgoci, stanowiącej ich główne pożywienie. Czasami zjawi się pośród nich olbrzymi Morpho, posiadający cały wierzch skrzydeł przepysznej, atłasowo-błękitnej barwy; w locie rozmiarami swymi czyni więcej wrażenie ptaka, aniżeli owada.

*

Stąpamy lekko po wilgotnych liściach, zalegających grunt leśny lub po rozmiękłej glinie i czarnoziemie, rozdeptanym ludzkiemi i końskiemi nogami. Oczy nasze pilnie badają korony drzew, lub podszycie leśne, szukając celu dla naszej dwururki. Czasami ujrzymy w gąszczu ponad ziemią kręcące się drobne ptaszki, lub zatrzyma nas stadko ożywiające korony wysokich drzew. Dochodzi nas głos jakiś żałosny, złożony z dwu nut krótkich, fletowych. Kierujemy się szybko, o ile gąszcz na to pozwoli, gdyż te nuty należą do jednego z najpiękniejszych ptaszków palmalskiego lasu. W miejscu bardziej otwartem, w pełni słonecznego światła spostrzegamy siedzącego na poprzecznej ljanie ptaszka wielkości srokosza. Cały blado-płowej barwy, upstrzonej ciemnemi, poprzecznemi prążkami, posiada na czole pęk dość długich, czerwonych piórek, zakończonych czarnemi, metalicznie połyskującemi plamkami; samica tego gatunku zamiast czerwonych ma pióra te pięknej, ochrowo-żółtej barwy. Spokojnie siedzący ptak składa cały ten pęk piór na głowie, czyniąc je niewidocznemi na pewną odległość. W locie jednak lub podekscytowany, nastawia je i roztacza w przepyszny wachlarz, który przód czoła zdobi nadzwyczajnie. Jest to sławna muchołówka królewska (Muscivora occidentalis) — gatunek pokrewny gujańskiej formie (Muscivora regia) i równie jak tamta rzadki po kolekcjach; łatwo więc wyobrazić sobie nasz zapał niezwykły, naszą gorączkę ornitologiczną na widok tej pysznej ptaszyny. W chwili, gdy ją spostrzegamy, wylatuje w powietrze, goniąc za jakimś motylem, a złapawszy go, wraca na swe dawne stanowisko i stara się połknąć sporego owada. Lecz strzał celny zrzuca ją na ziemię. Poezja ustąpić musiała przed nauką — boginią zimną i bez serca.

Cztery bardzo podobne do siebie gatunki mu-

mu opinję badacza poważnego i dojrzałego o wybitnie wyrażonym krytycyzmie naukowym. Za temi pierwszemi pracami następuje szereg innych. Drukuje je w Polsce, Anglji, Francji, Niemczech i Rosji. Liczba ich w chwili śmierci wynosi kilkadziesiąt. W pracy swej nie ustaje z wiekiem; owszem przeciwnie. W odrodzonej Polsce znajduje w sobie jakby nowe siły i ze zdwojoną energja pracuje, aż do ostatnich dni. Od pracy zabrała nam go śmierć.

Z kierunku swych prac naukowych był Sztolcman par excellence systematykiem; olbrzymia większość jego prac poświęcona jest mianowicie systematyce ptaków. Przynajmniej jest to kierunek, któremu pozostał on wierny do końca życia. Za młodu, mając umysł niezwykle wrażliwy, nie pozostawał bierny i wobec innych zagadnień nurtujących naukę. W dobie więc rozkwitu darwinizmu wypowiadał się również na temat problemów ogólniejszej natury, a głos jego nie pozostał bez echa w dyskusji europejskiej. W zainteresowaniach swoich sięgał nawet po za zoologję, ma bowiem w swym dorobku naukowym pracę z dziedziny geografji morfologicznej.

Niezwykle rozwinięty dar obserwacyjny pozwolił Sztolcmanowi zebrać olbrzymie materjały z dziedziny obyczajów zwierząt. Obserwacje te, dotyczące fauny Ameryki południowej, stanowiły niejednokrotnie rewelację dla nauki. W tym kierunku Sztolcman mało znalazł następców, którzy dorównaliby mu zasługą.

Rezultaty naukowych podróży Sztolcmana ogłaszane były jednak nietylko w wydawnictwach naukowych. Olśniony pięknem podzwrotnikowej przyrody i warunkami życia w niej człowieka, chłonie on całą swą wrażliwą duszą wszelkie przejawy natury. Obserwuje wszystko, nad wszystkiem się zastanawia. Nie należy bowiem do tego typu naukowców, którzy po za swą specjalnością nie widzą nic dokoła siebie. Rezultatem tych jego wszechstronnych obserwacyj, rozważań i przeżyć jest kapitalna książka o Peru, pisana w formie wspomnień z podróży. Obszerne to dzieło, jakkolwiek pisane przed czterdziestu laty, nie straciło do dziś dnia nic na swem znaczeniu i aktualności, czego dowodem najlepszym jest fakt, że rząd peruwjański właśnie obecnie wydaje tę pracę w języku hiszpańskim, jako rzecz podstawową, wprowadzającą w znajomość Peru.

Jest to niezwykłe wyróżnienie, wśród wielu innych zresztą, które spotykały zmarłego ze strony instytucyj naukowych krajowych i zagranicznych. Wspomnę tu tylko, że Sztolcman był członkiem Komisji Fizjograficznej i Komisji Geograficznej Polskiej Akademji Umiejętności, członkiem honorowym Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego, członkiem korespondentem Towarzystwa Przyrodników i Geografów w Moskwie, członkiem korespondentem Zoological Society of London i t. d.

Przechodząc do literatury popularyzacyjnej Sztolcmana, wspomnieć trzeba przedewszystkiem o pięknej polszczyźnie, w której była pisana. Władał on bowiem mową ojczystą, jak rzadko kto. Nadmienię tylko, że piórem jego zachwycał się taki mistrz słowa, jakim był Sienkiewicz.

Spuścizna Sztolcmana w dziedzinie popularyzacji nauki jest ogromna. Setki artykułów, porozrzucanych w rozmaitych czasopismach przyrodniczych i wydawnictwach popularnych — oto dorobek jego życia w tej dziedzinie. Hojnie i pięknem słowem siał dokoła ziarno wiedzy.

Kończąc tę krótką charakterystykę Jego wielkiego dorobku naukowego i niepospolitych zasług obywatelskich, o jednej jeszcze zasłudze wspomnieć tu muszę. Po za nauką ukochał nadewszystko łowiectwo. Był myśliwym wielkiej miary i wyjątkowej kultury. Dzisiejsze łowiectwo w Polsce, odradzające się na gruncie ekonomicznym, nie zdaje sobie sprawy z ogromnych zasług, które w tej dziedzinie położył założyciel i redaktor „Łowca Polskiego".

Zabrała nam go śmierć. Zabrała przedwcze-

---

chołówki królewskiej, zwanej przez Francuzów „le roi de gobe mouches", zamieszkuja leśne regjony Ameryki Południowej i Środkowej (Meksyk, Ekwador, wschodnią część Peru i Guyanę). U wszystkich samiec posiada wachlarz czołowy krwisto-czerwony, samica — ochrowo- żółty. W obu płciach każde piórko wachlarza zakończone jest czarną z granatowym połyskiem cętką. Mucholówka ta przebywa zwykle w gąszczu leśnym, wybierając jednak miejsca, gdzie brak większych drzew dozwala wdzierać się swobodnie promieniom słonecznym. Tam na nieznacznej od ziemi wysokości zasiada spokojnie, czatując na motyle i inne owady, które w lot łowi, wracając obyczajem muchołówek na dawne miejsce. Głos jej minorowy, pełny i czysty, składa się z dwu nut tylko, niemniej jednak czyni na nas silne wrażenie, co niewątpliwie rzadkością ptaka i silną żądzą zdobycia go objaśnić się daje.

*

Posuwamy się w milczeniu, krokiem lekkim, do którego szybko nas wdraża życie leśne. Łapcie skórzane, pokrywające nasze nogi, dotykają ziemi bez żadnego prawie szmeru, dzięki rannej wilgoci, jaka zeschłe liście moczy. Tym sposobem łatwo zejść możemy czy to ptaka większego, czy czworonoga, zwykle bardzo ostrożnego. Naraz z pośród leśnego spokoju rozlega się łoskot, spowodowany widocznie uderzeniami twardego ciała o drzewo. Stajemy zdziwieni, szukając napróżno przyczyny jego: na uderzenia siekiery zbyt prędko jedno po drugiem następuje, a zresztą w lesie, oprócz nas, ludzi niema; dzięcioł znów, kując drzewa, powoduje łoskot podobny, lecz pojedyńcze uderzenia prędzej i nierównomiernie po sobie następują. Nie wiedząc przyczyny, najlepiej ją odkryć. Tak też i my czynimy, puszczając się gąszczem prosto na głos, dochodzący nas z małemi pauzami. Już go słychać blizko, coraz bliżej; prowadzimy wzrokiem po pniach okolicznych, gdy naraz w koronie wysokiego drzewa robi się zamęt, szum jakiś, pisk i głosy niepojęte. Szybko wznosimy głowę i odkrywa nam się tajemnica tego niepokoju. To stado małpek (Cebus capucinus) żerowało w koronie wysokiego drzewa, a łoskot pochodził od uderzeń twardymi owocami o konary. Skradamy się do jednej z małp, lecz niezmiernie chyże stworzenie już znikło w gęstwie drzewa, jednocześnie widzimy drugą, rzucającą się na sąsiednią koronę, więc za nią biegniemy szybko, lecz nim do drzewa dobiegliśmy, już tam spokój panuje. Gorączkowo rzucamy się na prawo, na lewo — zawsze bezskutecznie. Spłoszone stado rozprysło się w jednej chwili, a my, niewprawni jeszcze w tego rodzaju polowanie, stoimy zawstydzeni, że taka okazja z rąk nam się wymknęła. Należało jednej małpy pilnować, a nie rzucać się na wszystkie strony. Lecz ta refleksja przychodzi nam zapóźno, więc wracamy na drożkę i zabiwszy jeszcze kilka drobnych ptaszków, kierujemy kroki nasze ku domowi.

(Dokończenie Antologji nastąpi).

śnie, bo mimo późnego wieku, odchodzi jeszcze w pełni sił do pracy i w pełni energji. Dużo mógł jeszcze zrobić...

Ano, trudno... Trzeba się pożegnać. Żegnaj więc przyjacielu! Leżeć będziesz w pobliżu tych kniei, w których, odpoczywając po pracy, spędziłeś najmilsze chwile swego życia. Niech Ci poszum tych lasów gra tak pogodną muzykę, jak pogodnem, słonecznem i pełnem wiary w prawdę było całe Twoje życie.

Mecenas Garczyński zabrał głos w imieniu Centr. Związku Polskich St. Łowieckich, oraz Polsk. Tow. Łowieckiego, którego zmarły był założycielem i członkiem honorowym. Ostatnią mowę wypowiedział wzruszonym głosem pułk. A. hr. Rzewuski, rzucając pierwszą grudkę ziemi na grób ś. p. Zmarłego:

„Serce krwią opływa, kiedy się pomyśli o niepowetowanej stracie! ...Jeszcze tak niedawno, widzieliśmy go, Księcia Nauki, w Redakcji naszego „Łowca Polsk." jak zawsze z pogodnym uśmiechem na ustach, ze skrą Duszy Świetlanej w powagi pełnych oczach... I już go niema!... Ongiś, w mrokach lat ubiegłych, w epoce przedwojennej — nie zapomnę nigdy, jak zaczytywałem się w ciszy i spokoju mej Wierzchowieńskiej siedziby jego niepowszedniemi dziełami.

Równoznacznik Stanley'ów, Liwingston'ów, Przewalskich, Grąbczewskich, Dybowskich, — całej tej świetnej plejady, która niosła prócz naukowych trofeów, badań krajów tajemniczych, jeszcze owe pierwiastki **zadośćuczynień Dumie Narodów**, których byli wiernymi i najlepszymi synami!...

Z nich niektórzy chociaż nasi z krwi i kości — jednak niestety podlegać musieli obcej etykiecie!... pracować dla wrogiej krainy. Ów Badacz niezłomny w misterjach Czarnego Kontynentu, śród pierzastych, palmowych gajów przyrody ekwatorjalnej, nad „Nilem Błękitnym" niósł sławę Imienia Polskiego Uczonego!

Nie był On „ani z roli, ani z soli, ale z tego co nas boli!" Stąd jest źródłem szlachetnej Dumy naszej. Dziękczynienie Świetlanej pamięci Twej składamy osieroceni przez Ciebie na zawsze, Podróżniku bolesny!...

Nadleciał Demon Zła!... Bolszewizm, w zgliszcza i ruiny obrócił piękną niegdyś Wierzchownię. Zmieniły się do szczętu warunki bytowania!... Dzięki Bogu, w wolnej Niepodległej już Polsce naszej spotkałem się ze ś. p. Profesorem w Redakcji tyle drogiego nam „Łowca Polsk." Mistrz, którego utworami rozkoszowałem się tam, śród kurhanów zadumanych, opływając w dobrobycie materjalnych warunków przedwojennych, stał się mym Mistrzem — Kolegą na niwie skromnej mej pracy literacko-łowieckiej!... I tu dopiero mogłem należycie ocenić Jego duszę gołębią! — cały zapas rzewnej, cichej pogody, która emanowała z drogiej dla nas wszystkich Sylwetki!... Ową wyrozumiałość na błędy i słabostki ludzkie, — słodycz dobroci w obcowaniu z każdym, ujmującą kurtuazję, tak rzadko dziś spotykaną na tym biednym świecie! Będąc „księciem nauki" — zdobywał tytuł „księcia serc", tytuł drogocenny, jako orchidea w cieplicy bogacza. Na podkładzie głębokiej erudycji, która się przebija w każdem zdaniu Jego, zauważyć się jednak dawał wykwit ogromu umiłowania do rodzimej przyrody, — przywiązanie szczere do łowiectwa polskiego, — do bladego uśmiechu polskich przestworzy, do ziemi ojczystej... Serce boli i krwawi, lecz pamięć o Tobie, Mistrzu, wieczystą będzie! Po trudach i znojach życia, po tytanicznych tworach naukowych, po ujarzmieniu na zawsze dusz naszych Twem promiennem wspomnieniem! Śpij, odpoczywaj Redaktorze nasz umiłowany! W twym zimnym grobie niech ci się przyśni nasz pieśniarz Matki Boskiej, — szary skowronek! — o Mistrzu Nieodżałowany!"

ŻAŁOBNE POSIEDZENIE WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO CENTR. ZW. POL. STOW. ŁOW. z dnia 30.IV.28.

Obecni: Pp. Wł. Słonczyński — przewodniczący, W. Garczyński, W. Szperling, B. Gędziorowski, H. Tietz, K. Tołłoczko, W. Kiltynowicz i Z. Wysocki. Zaproszony p. J. Oreński.

Przewodniczący zawiadamia Wydział o bolesnej stracie, jaką poniosło całe łowiectwo polskie, a z niem i Centralny Związek, wskutek nieoczekiwanej śmierci ś. p. Jana Sztolcmana. Pamięć Zmarłego obecni uczcili przez powstanie.

Wydział przechodząc do omówienia spraw, związanych ze śmiercią ś. p. Jana Sztolcmana, postanawia:

a) Zamieścić w „Kurjerze Warszawskim" nekrolog.

b) Zakupić wieniec, prosząc Pp. Słonczyńskiego i Kiltynowicza do zajęcia się tem kupnem.

c) Prosić p. Garczyńskiego o wygłoszenie mowy imieniem Centralnego Związku, nad trumną Zmarłego.

d) Wydział postanawia przystąpić do zebrania funduszu w drodze subskrypcji na cel uczczenia pamięci Zmarłego, proponując przedewszystkiem przeznaczenie zebranych środków na wydanie kompletne zbioru prac ś. p. J. Sztolcmana w formie przystępnej dla szerokich warstw myśliwskich.

ŻAŁOBNE POSIEDZENIE KOMITETU REDAKCYJNEGO.

Po otrzymaniu smutnej wieści o zgonie ś. p. Redaktora Sztolcmana, zwołano nadzwyczajne zebranie Komitetu Redakcyjnego, na które przybyli pp. red. J. Ejsmond, mec. W. Garczyński, W. Kiltynowicz, A. hr. Rzewuski, prezes Wł. Słonczyński, W. Szperling, dr. St. Zaborowski i sekr. J. Oreński.

Red. Ejsmond wygłosił żałobne przemówienie. Pamięć Zmarłego uczczono przez powstanie. Postanowiono zakupić wieniec i wydrukować nekrolog w „Kurjerze Warszawskim".

Uproszono red. Ejsmonda o wygłoszenie mowy nad grobem w imieniu Komitetu redakcyjnego „Łowca Polskiego".

Z CENTR. ZWIĄZKU POLSK. STOW. ŁOW.

Zgłoszeni zostali w dalszym ciągu następujący kandydaci na Delegatów powiatowych Centralnego Związku, pp.:

Marjan Buczyński mjr. lekarz, — Lida 77 P. P., Witold Niecieckі, — Minojty p. Lida,
Jan Cholewo, — Szczuczyn Lidzki, Sąd pokoju,
Bolesław Bułnarowski, — Borcie p. Woronowo,
Stanisław Wiszowaty — Iwje p. Woronowo,
wszyscy na powiat Lidzki.

Zygmunt Gilewicz Ppłk. Szef Sanit. DOK. VIII,
Jan Rzyski, — Magistrat m. Torunia.
Stanisław Martini Pułk. Centr. szk. Strzelnicza, — Toruń,

Tadeusz Sokołowski, szpital wojsk. Nr. VIII, — Toruń,
wszyscy na powiat i miasto Toruń.

Czesław Jarnuszkiewicz Ppułk. D-ca piech. dyw. w 16 p. p. — Grudziądz,
Jan Stenzel, — Grudziądz, Rynek 20,
Czesław Mańkowski mjr., — Grudziądz, Kościuszki 19.
Wincenty Staśkiewicz, — Zawda p. Grudziądz,
E. A. Dębski, — Łasin p. Grudziądz,
Roman Majewski, — Stara Ruda, p. Grudziądz,
wszyscy na miasto i powiat Grudziądz.

Władysław Matusiński, Zarz. Dróg Wodnych, - Chełmno,
Adam Ajdukiewicz Płk. D-ctwo 66 p. p. — Chełmno,
obydwaj na miasto i pow. Chełmno.

Jerzy hr. Tyszkiewicz — Weryń, p. Kolbuszowa, na p. Kolbuszowa.

Dr. Stanisław Koźmian Rejcher — Targowiska p. loco na p. Krosno.

Wiesław Krawczyński — Dąbrowa, p. Łańcut, na pow. Łańcut.

Jerzy ks. Lubomirski — Rozwadów, p. loco, na p. Tarnobrzeg.

Benedykt Jan hr. Tyszkiewicz — Pierszaje, p. Wołożyn, na pow. Wołożyński.

Jan hr. Moszyński — Sójki, p. Kutno, na pow. Kutnowski.

Witold Prus-Kaczkowski — Lubianków, pow. Głowno, na pow. Łowicki.

U w a g a: Trzykrotne ogłaszanie nazwisk kandydatów na delegatów daje możność nadsyłania ewentualnych zastrzeżeń ze strony osób zainteresowanych.

DROBIAZGI MYŚLIWSKIE.

+ **Pogoń za niedźwiedziem.** — Z menażerji pod Brighton, na samem południu Anglji, zbiegł wspaniały niedźwiedź i ukrył się w gęstych gajach i krzakach, rosnących obficie nad tym właśnie brzegiem morskim, gdzie kanał La Manche oddziela się od Atlantyku. Ponieważ zbiegły niedźwiedź zaczął po kilku dniach odczuwać coraz uciążliwszy głód, więc kilka owiec i kóz przepadło bez wieści. Mieszkańcy zaczęli się obawiać, żeby apetyt zbiega nie zwrócił się również w stronę ludzkiego mięsa. Jednakże wszelkie usiłowania pojmania niedźwiedzia przy udziale sił miejscowych, pozostały bez skutku. Wobec tego komenda wojskowa w Brighton mobilizuje bataljon ochotniczy, złożony przeważnie z kadetów, aby urządzić prawdziwą obławę na niebezpiecznego zbiega.

+ **Wyprawa po lisy i kuny.** — W ostatnich latach zmniejszył się do tego stopnia dowóz futer, iż przemysł futrzany znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Futrzarze niemieccy postanowili więc rozpocząć na wielką skalę hodowlę odpowiednich zwierząt, przedewszystkiem zaś kun i srebrnych lisów, których skóry są najbardziej poszukiwane i cenione.

Na ten cel wybrano w pobliżu Lipska obszar leśny, obejmujący 50 hektarów górzystej ziemi i na tej przestrzeni ma być prowadzona racjonalna hodowla zwierząt na futra.

Największe trudności przedstawia zdobycie żywych i zdrowych zwierząt zarodowych. Celem uzyskania zdatnych do hodowli srebrnych lisów wysłano ekspedycję na Kamczatkę i do północnej Kanady, wyznaczając po 12 tysięcy marek za zdrową parę zwierząt. Natomiast kun dostarczyć ma północna Ameryka w cenie 3 tysięcy marek za parę.

+ **Rozszarpany na polowaniu.** — Ajencja Telegraphen-Union podaje nadeszłą do Kowna z Moskwy wiadomość, że rząd amerykański rozpoczął ostatnio energiczne poszukiwania zaginionego przed kilku miesiącami w Rosji obywatela amerykańskiego Belwiusa, który przed pół rokiem przybył do Chabarowska i od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął. Władze sowieckie ogłaszają wyjaśnienie, według którego Belwius miał zostać podczas polowania rozszarpany przez drapieżne zwierzęta.

Hekatomba łabędzi. — Na zamarzniętej Niagarze tysiąc łabędzi szukało schronienia. Nagle oderwała się obsiadła przez nie część pokrywy lodowej i została zniesiona w przepaść przez szalony pęd wody. Przeszło 200 łabędzi porozrywało się na skałach, inne porwał nurt i zatopił. Łabędzie przybyły z południowych stanów, gdzie wcześniej niż zwykle, rozpoczęły się upały. Łabędzie, sądząc, że nastał już czas lata, przeniosły się na północ, tu zaś zastały bardzo surową zimę; ziemia była pokryta głęboką warstwą śniegu. Schroniły się więc na wielką lodową przestrzeń, by noc tam przebyć, i podczas snu spotkała je katastrofa.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktor: Juljan Ejsmond. **Wydawca: Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich.**

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.